

— Nie wiem, bo jeszcze nie pozdawał ostatecznych egzaminów.

— O! — zadziwiła się Maliniewiczowa — nie pozdawał jeszcze? Przecież nie jest już taki młodziutki. I dlaczego to zwłoka tak długo?

— Doprawdy, nie wchodzę w to, bo to w zupełności jego rzecz — odrzuciła Józia, poirytowana tą indagacją.

— Chyba także i twoja potrosze. Ale rozdział majątku dokonany?

— Nie wiem.

— Jakto, nie wiesz, czy twój mąż sam zarządza należną mu częścią majątku?

— Nie interesowałam się tem dotychczas.

— Doprawdy, zadziwiasz mnie swoim brakiem zainteresowania w najżywniejszych sprawach.

— A cóż ja to obchodzi, byle jej nic nie brakowało — wtrącił niecierpliwie Maliniewicz. — Niech sobie będzie, jak chce.

— Pozwól, ale braknąć może, a wtedy do kogo zwróci się? Do ojca? A my sami mamy...

Twarz Józii oblewa się ognistym rumieńcem.

— Może mama być spokojną — przerywa trochę już szorstko — nie będę niczego od ojca wymagała. W każdym wypadku dam sobie sama radę.

— Tak się to mówi, a później... Z tego wszystkiego jednak wnoszę, że nieszczególną zrobiłaś partyę. Nie było się czego tak spieszyć. Jesteś bardzo przystojna i gdybyś się ubrała porządnie, mogłabyś bardzo podobać się.

— Podobała się aż za dużo. Już mi to łokciem wylaziło — mruknął pod nosem Maliniewicz, wysączając ostatnią kroplę kawy ze szklanki.

Komplement macochy nie sprawia Józii żadnej przyjemności, natomiast serce jej rozrzuca się coraz silniej krwawą urazą do ojca, zwłaszcza gdy radca, przełknawszy ostatni łyk, powiada głośno:

— Nie przewracajże jej w głowie, moja Adelciu. Całe szczęście, że poszła już za męża!

— Tak, tak, trochę za dużo miała temperamentu — komentuje żona ze złośliwym uśmiechem.

Józia zaciska zęby i nerwowo bawi się serwetką. Najchętniej uciekłaby stąd zaraz.

Nareszcie śniatanie skończono. Maliniewiczowie wsiają od stołu i Józia podnosi się także z krzesła z uczuciem ulgi.

— Doprawdy nie wiem, gdzieby cię umieścić — mówi radczyni, robiąc minę wielce zakłopotaną — bo...

— Jeżeli sprawiam za dużo kłopotu, to mogę przemocować w hotelu — rzuciła Józia przyciszonym, łamiącym się głosem, bo zaczynały ją dławić gorzkie, palące łzy.

Maliniewiczowa zmieszana się nieco

— Ale cóż znowu... Nie wypada... Znajdzie się przecież u nas jakieś pomieszczenie... Jest wolny ten pokój koło kuchni.

— Ten, w którym dawniej mieszkała pokojówka? — wyrwa się Józii mimowolnie na usta.

— Bardzo porządny pokój — brzmi bardzo chłodna odpowiedź — ładne tu były porządki, żeby słudze dawać takie wygody. To też i takie było gospodarstwo.

Józia w milczeniu przyeła wyznaczone jej pomieszczenie, nie śmiąc zapytać nawet, jakie też obecnie przeznaczenie ma pokój, który dawniej zajmowała razem ze siostrą.

Józia, zmieniawszy czapkę na jasny słomkowy kapelusz i ciemną i zmiętą z drogi bluzkę na białą i świeżą, wyszła na ulicę, tonącą w powodzi lipcowego słońca.

Zdecydowała się, by nazajutrz wracać do Łykowa, chciała więc wykorzystać krótki czas pobytu. Przejść się po mieście, odwiedzić siostrę w klasztornym pensjonacie, zobaczyć jakich znajomych, którą z dawnych koleżanek.

Odleciało ją już radosne, swobodne usposobienie, w jakim witała Kraków, rozwiały się nieokreślone rojenia i nadzieje, które ją gnały w tę podróż. Jechała jak po wyzwoleniu, a na wstępie zaraz przekonała się, że dobrowolnie wracać musi do więzienia.

— Jaka ja byłam znowu głupia, szalona — śmieje się sama z siebie, ale tym śmiechem, co pali goręcej niż łzy — co mi się ubzdurzało, niby ojciec miałby się tak zmienić? A czy on kiedy iryszczył się o mnie? Abym go tylko jak najmniej kosztowała. Tembardziej teraz.

Niemniej ciekawa była Krakowa, którego nie widziała przeszło rok, spragniona wrażeń odmiennych, choćby trochę miłych.

— Tylko jeden dzień użyć swobody... Tylko jeden dzień...

Na zakręcie ulicy zetknęła się nagle oko w oko ze szczupłym, niepokąlnym człowieczkiem, o zielonawo połyskujących, chytrych oczach, sinawych wargach i wysuniętej, drgającej szczęce złego buldoga.

Ruchy miał tak elastyczne, jakby cały był z gumy lub z gutaperki. Ubrany był z fryzerską elegancją, która czyniła go brzydszym jeszcze i bardziej antypatycznym.

Na widok Józii oczy owego jegomościa zapłonęły jakimś niesamowitym ogniem, a twarz zaczęła drgać nerwowo. Siegnął do kapelusza i uklonił się nisko, ale fizyognomia jego w tej chwili przypominała rozwścieklonego na uwięzi buldoga, który czeka tylko stosownej chwili, by ugryźć.

Józia zmieszana oddała ukłon i odwróciła zaraz głowę. Nie miała ochoty patrzeć na swego dawnego natarczywego konkurenta, pana Sioibińskiego, którego przed rekiem chciał jej ojciec koniecznie narzucić na meza.

Wstrząsnęła się mimowolnie. Przyspieszyła kroku i skierowała się na planty. Po chwili obeirzała się, zdjeta nagłą obawą, że Sioibiński idzie w trop za nią. Myślała się jednak. Nie ścigał jej ale stał jeszcze cagle na rogu ulicy i wzrokiem tylko gonił Józję.

Młoda kobieta czuła, że ogarnia ją jakiś zabobonny przestrah.

— Zły znak, że jego pierwszego ze znajomych spotkałam — pomyślała, ale rozśmiała się sama z tej niedorzecznej obawy.

— Przecież każdemu wolno chodzić po ulicy. Co on mi zrobić może? Ale pomyśleć, że ja mogłabym być jego żoną! Nie! Co to, to nigdy!... Gdyby mnie ojciec zmusił, to raczej byłabym...

Zdjął ją lęk przed własną myślą. Wstrząsnęła się z takim przerażeniem, jakgdyby jeszcze istniała możliwość tego strasznego, beznadziejnego wyboru.

Ale po chwili omal, że się głośno nie roześmiała.

— Co mi to za dziecinady przychodzą do głowy. Mam się też kim trapić — panem Sioibińskim!...

Podniosła głowę i wedle zwyczaju swego odrzuciła ją nieco w tył, poddając twarz, nieosłoniętą welonką, gorącej pieśszczocie słońca.

Zar przenikał przez cienki batyst bluzki i rozpałał różowo przebłyskującą z pod pierzyskiej osłonki skórę ręki. Wcisnął się w „a'urki" karczka, bił strzałami promieni w obnażoną szyję.

Kwiaty w kwietniku przed „Collegium Novum" pochylały główki, jakby omdlewając. Zapach róż, dusząca i słodka woń okwitających lip mieszały się z kształującym, suchym pyłem, który dochodził z ulicy.

Asfalt ścieżki zmiażdżony od gorąca i ugiął się pod nogą.

Mimo upału i olśniewającego żaru słonecznego wszystkie ławki w „kółku" przed uniwersytem były zajęte, przeważnie przez zdrowiejących żołnierzy i kobiety z dziećmi.

Żołnierze wygrzewali na słońcu swoje zmierzowane, wychudłe twarze i poglądali na goniące z głośnym łupotem małych nóżek dzieciaki.

Jeden z nich, starszy już mężczyzna z włosami i brodą przelkanymi srebrzystymi nićmi, zajął sam jeden całą ławkę dla siebie, bo musiał ułożyć wygodnie swoją ranną nogę tak grubo owiniętą bandażami, że robiła wrażenie bezkształtnego kloca.

Blado-niebieskie, tęskne, zmęczone oczy sławały się słodkie i rozrzucone. Kiedy ślizgały się po buziakach dziecięcych. Na wynędzniałej twarzy pojawił się błogi uśmiech, ilekroć donośniej, hałaśliwiej zabrzmiał niefrasobliwy szczebiot i żwawiej zafuotały drobne nóżki.

Próbował zagadywać do dzieci, przyzywał je ku sobie wymownymi gestami, spojrzeniami i uśmiechami. Ale dzieci nie rozumiały go, bo przemawiał obcym językiem, do którego starał się wplatać dziwacznie przekręcone słowa polskie.

Opodal siedział młody człowiek blady, chmurny, z jakimś rysem zaciętości wokół ust blado-różowych, wykrojonych w precyzyjny, miękki łuk.

Na rękawie kurtki żołnierskiej miał odznakę jednorożniaka, na piersi błyszczał mu duży medal, a z prawego ramienia zwisał pusty rękaw.

Na kolanach trzymał książkę, ale nie szło

mu jakoś czytać. Wzrok co chwila odrywał się od zadrukowanych kart i gubił się wśród przechodniów.

Józia zdało się, że poznaje tego młodzieńca. Tak, tak, dokładnie przypominała sobie, że go często widywała przed wojną. Spotykała go to na plantach, to na Błoniach. Nie miał wiedzy ani tak bladej twarzy, ani tak zaciśniętych ust i posiadał obie zdrowe ręce.

Miękki, fantazyjnie wywinięty kapelusz, czarna aksamitna kurka i przybory malarskie, z którym się bezustannie nosił, świadczyły, że należy do adeptów sztuki.

Pewnego razu chciał nawet narysować portret Józii, która wymknęła się „za szkołę" do Parku Jordana i siedziała na ławce w towarzystwie koleżanek.

Panią nie zezwoliła jednak na uwiecznienie swej fizygnomii i obróciła się poprostu do zuchwałego malarza plecami przy akompaniamencie głośnego śmiechu koleżanek, zachwyconych tą demonstracją a zazdrosnych trochę, że malarz właśnie tylko Józję pragnął sportretować.

Przeleciało jej to wspomnienie błyskawicą przez mózg i ścisnęło się serce współczuciem. Ten rękaw puszył Boże! Ten puszył rękaw!

— Biedaczysko!... Co za straszne nieszczęście dla malarza!... Co on teraz robi?...

I znowu w głowie Józinej budzi się pytanie, niecierpliwe, buntownicze, które ma jednak pozostać bez odpowiedzi.

— Dlaczego to tak? Dlaczego?... Tyle łez, tyle nieszczęść, tyle okropności! Dlaczego?...

Radaby Józia, aby jej ktoś to wyjaśnił, a nie wie, że cała ludzkość zadaje sobie to samo pytanie, a odpowiada jej huk armat i jęki rannych.

Spotkały się na chwilę oczy Józii Zarnickiej i młodego żołnierza bez ręki. I on snąć poznał młodą kobietę, bo oczy mu nagle żywo błysnęły i usta drgnęły jakby do śmiechu, który zamarł wszakże, zanim zdążył złagodzić posępność tej młodej twarzy.

Żołnierz-kaleka opuścił wzrok i utkwiał go w książkę. Nie popatrzył już więcej na Józję.

Ale i jej uwagę zajęła już jakaś inna twarz.

Młoda kobieta skrzyła w aleję wiodącą ku nlicy Szewskiej. Ciekawie rozglądała się wokół, upatrując znajomych twarzy — na razie napróżno. Za to z serdeczną uciechą poznawała i wiała wzrokiem każde drzewo, każdą ławkę. Wszystko tutaj owiane było ciepłem wspomnień, białych przeżawień, ale miłych.

O! tu na tej ławce cienistej, jeżeli to ta sama jeszcze, muszą być wyróżnione imiona Józii i Tosi, ówczesnej jej przyjaciółki i powiernicy „od serca".

Tam u wylotu ulicy św. Anny wyrastał jakby z pod ziemi Jurek, a z przeciwnej strony, od ulicy Studenckiej, głowił rywal jego „realista" Kazio Szanecki, wymuskany zawsze, doskonale opięty i bajecznie utrzymywany paniczek.

A tu znowu zdążyło się do pewnej cukierki na Brackiej, gdzie były wyśmienite ciastka po cztery centy.

— Ile to razy tak się obiadłam temi ciastkami, że aż chorowałam później — wzdycha Józia, jakby to wspomnienie właśnie należało do najmielszych. — Ale co to za pyszna zabawa nieraz bywała!

Ta „pyszna zabawa" kończyła się często kroć gorzkimi łzami. Surowa, nieubłagana Nemezis kazała drogo płacić za krótkotrwałe chwile wesołości i swawoli, przybierając na się postacie to ojca, to ciotki, to wreszcie tej oto pani, która dąży teraz wprost ku Józii, nie spuszczając jej jednak.

Sucha, bardzo wązka twarz ze spiczastym nosem, zaostroszoną brodą i czarnymi, niedużymi inkwizytorskimi oczami. Ten sam nieśmiertelny czarny słomkowy kapelusz na włosach mysiego koloru, sztywnych, gładkich, energicznie zeszczotkowanych i zwiniętych z tyłu w twardy, mocny, bynajmniej nie grecki węzeł.

Jednym słowem panna Fidlerówna, zwana przez uczennice „Fidlerycą" albo „bazyliżkiem", dawna nauczycielka Józii, gospodyni jej klasy i stała, konsekwentna prześladowczyni z owej jak iskra i swawolnej jak chochlik dziewczynki.

Ona zawsze umiała wyśledzić każdy figiel Józii i okazywała szczególną zdolność w kierunku łapania roztrzępanej uczennicy na nieuwadze i dowodnego wykazywania jej, że o zadanej lekcji niema pojęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)